

OPowieści z BAGIEN

ZAGRAJ MI

MAGDALENA KWIECIEN

OPOWIEŚCI Z BAGIEN

TOM III
ZAGRAJ MI

MAGDALENA KWIECIEŃ

WYDAWNICTWO VIBE

Redakcja: Paulina Zyszczyk – Zyszczyk.pl
Skład DTP: Joanna Mroczkowska
Korekta: Natalia Kocot – Zyszczyk.pl
Projekt okładki: Marta Żurawska
Ilustracje: Jagoda Miga

Druk i oprawa: Mazowieckie Centrum Poligrafii –
Drukksiazek.pl

Copyright © Wydawnictwo Vibe, 2025

Wszelkie prawa zastrzeżone. Powielanie i rozpowszechnianie
z wykorzystaniem jakiejkolwiek techniki całości bądź fragmentów
niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania
pisemnej zgody wydawcy jest zabronione.

Wydanie I
ISBN: 978-83-973334-5-1

PROLOG

Przerażający krzyk rozdziera ciszę, budząc wszystkich dookoła. Matka otwiera oczy, całkowicie przytomna, jakby nigdy nie spała. Wychodzi z pokoju, by zajrzeć do syna, lecz ojciec powstrzymuje ją w pół kroku.

– Ja pójdę – oświadcza zdecydowanym głosem. – Wracaj do łóżka. Spróbuj zasnąć.

Zanim kobieta się sprzeciwia, on zamyka jej drzwi przed nosem. To nie pierwszy raz, gdy chłopak go potrzebuje. I nie ostatni.

Syn miota się po pościeli, walcząc z niewidocznym wrogiem. Kolejny koszmar. Co tym razem? – zastanawia się Ernesto, delikatnie ocierając dziecku pot z czoła. W końcu powieki się otwierają i drżące ciało syna wtula się w szerokie ramiona ojca.

– Już dobrze, Lino. To tylko zły sen.

Chłopiec nie przestaje się trząść, co źle wróży. To nie sen. Strach oznacza wizję. Cień przyszłości znów przychodzi nieproszony. To nie dar, lecz przekleństwo – uświadamia sobie po raz kolejny ojciec. Udręka dla niego i całej rodziny. Dlaczego właśnie on, dlaczego teraz, kiedy już wszystko miało być dobrze? Nienawidził tego, jaki bezradny jest wobec siły czaru, który omotał jego jedyne syna.

Ernesto wzdycha, tuląc chłopca jeszcze mocniej, by podarować mu ulotne poczucie bezpieczeństwa. Gdy, zdawałoby się, niemające końca drzenie nareszcie ustępuje, ojciec odgarnia mokre od potu rude kosmyki i spogląda w zapłakaną twarz pierworodnego.

– Jestem przy tobie. Powiedz, co zobaczyłeś.

Oczy Lino wypełniają się łzami. Na próżno próbuje się opanować, łapiąc powietrze jak ryba wyciągnięta na brzeg. Ojca ogarnia współczucie pomieszane z wściekłością na niesprawiedliwy los, lecz na przekór wszystkiemu mocno chwyta dłoń syna i szepcze mu wprost do ucha:

– Spokojnie, dasz radę. Zmierzymy się z tym razem.

– Tato, tego nic nie powstrzyma. TO się stanie.

– Więc nie ma sensu walczyć, dziecko. Przygotujemy się na to, co ma nadejść.

Lino wzdycha i nabiera powietrze głęboko w płuca. Strach przed nieuniknionym ściska jego struny głosowe.

Nagle do pokoju wpada Płamena z paniką wymalowaną na twarzy. Ona już wie, mówią mu jej oczy.

– Mamo, Bagna... zniszczone. Oni wszyscy... – Nie jest w stanie wydobyć z siebie słów. To dla niego za dużo.

Zanim ktokolwiek byłby w stanie go powstrzymać, wybiega na zewnątrz i staje pośrodku placu, unosząc zaciśniętą pięść w stronę gwiazd i księżyca.

– Zabierzcie sobie te wizje! Nie chcę ich! Zostawcie mnie wreszcie w spokoju!

Dziecko chwieje się niebezpiecznie, jakby potrząsane niewidzialnymi rękami, lecz zanim upada, ojciec go chwyta i nieprzytomnego zanosz do domu.

Czy nawet tutaj, na słonecznej Sycylii, Bagna muszą ciągle przypominać o swoim istnieniu?

Czy nie ma szans na to, by kiedykolwiek mogli się od nich uwolnić?

CZĘŚĆ I

ROZDZIAŁ I

GŁĘBOKO W LESIE

DERWAN

Obecnie

Przedzieram się przez gęsty las. Ścieżka prowadząca donikąd właśnie się skończyła, ale nie mam zamiaru rezygnować, poszukując kolejnej ślepej drogi. Gdzieś w pobliżu, zakopane daleko w lesie, znajduje się miejsce, o którym od lat krążą legendy w wiosce na Bagnach. To tam poznała się słynna na cały magiczny świat niezwykła para wampira i wiedźmy, duetu tak niedopasowanego, jak budzącego podziw. Chociaż powszechnie wiadomo, że wampiry to stworzenia demoniczne, które powinniśmy zwalczać, a nie wpuszczać do łóżka, para ta uważana jest za wyjątek od tej żelaznej reguły, a dom w lesie zwany chatką Ludisa – świętym miejscem. Niewielu tam dziś zagląda, lecz wiedźmy pilnują, żeby budynek nie niszczał: co jakiś czas robią tam porządki i konieczne remonty. Mimo iż od lat stoi pusty, dla nich stanowi symbol zwycięskiej wojny. Według nich nie można dopuścić do zaniedbania chatki.

To cel mojej obecnej tułaczki i dobrowolnego zesłania. Odległy od Bagien punkt idealnie spełnia moje oczekiwania. Chcę znaleźć się jak najdalej od wiedźm i surowych zasad sprawiających, że moje życie straciło sens.

Gałęzie ranią skórę, lecz nie zważam na to. Upadam, a moje szorstkie dłonie dotykają zimnej ziemi. Nie wiem, czy nikły zapach dawno zmarłego wampira jest prawdziwy, czy wyobraźnia stroi sobie ze mnie żarty. Nigdy nie byłem dobry w szukaniu. Może i tym razem zamiast chatki starego krwio pijcy znajdę jedynie truchło wiewiórki. Otrzępuję ubranie z brudu i igliwia, pręc dalej. Znajdę to cholerne miejsce, choćbym miał go szukać tygodniami. Chyba że jakiś leśny drapieżnik zrobi sobie ze mnie przekąskę, ale nie dbam już o to. Wszystko mi jedno. Co ma się stać, i tak się stanie. Jeśli zginę, przynajmniej umrę w zgodzie ze sobą. Nikt nie będzie mnie więcej zmuszał do udawania kogoś, kim nigdy nie byłem. I teraz wyłącznie to się dla mnie liczy.

Mijają godziny błędzenia po leśnej gęstwinie, aż wreszcie moim oczom ukazuje się nadgryziona zębem czasu chata. Oddycham z ulgą. Pierwszy cel wędrówki osiągnięty. Nie muszę się przejmować kluczem. Czar, którym opleciono budynek, jest mi dobrze znany. Bez trudu otwieram zmurszałe, skrzypiące drzwi niekonserwowane od lat. Jak widać, czarownice nie wykonują prac, do których się solennie zobowiązały, kiedy Kostroma i Dawid opuszczali te ziemie. Nigdy nie poznałem tej dziwnej pary, tylko słyszałem legendy o magicznym śpiewie czy nadzwyczajnej miłości. I oczywiście o czarze PRZECZUCIA, który uratował ludzkość przed zapędami złej wiedzy Ludmiły. Jeśli w tej historii jest tyle prawdy co w spełnianiu obietnic przez leśne szeptuchy, mogę sobie darować wiarę w stare legendy.

Gdy otwieram szeroko drzwi, ukazuje mi się zakurzone wnętrze, ale ku mojemu zdziwieniu całkiem przyzwoicie urządzone. Może wygląd zewnętrzny miał odstraszać ewentualnych poszukiwaczy przygód, aby się tutaj nie zapuszczali? Ale czy sprawy po prostu nie załatwiłby czar maskujący, dokładnie ten, którym otoczono wioskę? Nieważne. Grunt, że będzie mi tu wygodnie, jeśli trochę posprzątam. W powietrzu unosi się ledwo wyczuwalny smród wampira. Wystarczy trochę przewietrzyć i dam radę spędzić tu kilka tygodni we względnym spokoju. A potem? Zobaczymy. Mam kilka opcji w zanadru.

Widowiskowe samobójstwo poprzez samospalenie na środku Bagien albo ciche odejście dzięki zabójczym ziołom, które specjalnie na ten cel gromadziłem przez ostatnie tygodnie, nie mogąc się zdecydować, która mieszkanka okaże się skuteczniejsza i bardziej bezbolesna. A może zwykłe powieszenie się na belce stropowej chatki Ludisa zostawiłoby niezatarte wrażenie dla odwiedzających? Doprawdy, trudno się zdecydować, tyle mam możliwości. Żadna z nich jednak nie uwzględnia kontynuacji mojej marnej egzystencji. Bo i po co? Już dość kalałem świat osobą tak żalosną, by dalej popełniać ten błąd. Bagna odetchną, gdy mnie nie będzie.

A Tomira? Zapłacze, wspomni czy choćby westchnie?

Nagły ból kłuje mi serce niczym szpikulec wbity w sam środek klatki piersiowej. Powinienem to zostawić, zapomnieć, ale tak trudno udawać, że ten jedyny jasny punkt na horyzoncie przestał istnieć. Przynajmniej dla mnie. Nigdy już jej nie zobaczę, lecz to nie moja decyzja. Nawet ona nie chciała mieć ze mną do czynienia, gdy się dowiedziała, kim jestem. A właściwie kim się stałem, tak jakbym mógł na to jakkolwiek wpłynąć. To, że nie pasuję do świata wiem, nie wynika z mojej złej woli ani wyboru. Taki się urodziłem. Zawsze inny, zawsze niedopasowany. I taki umrę.

Outsider do samego końca.

TOMIRA

Wcześniej

Święto Kupały za pasem, przygotowania szły pełną parą a ja, dźwigająca brzuch ciążowy i cierpiąca na dokuczliwe bóle kręgosłupa oraz skurcze w łydkach, bardziej nadawałam się do leżenia w łóżku niż realnej pomocy. Co oczywiście nie przeszkadzało mi wtrącać swoje trzy grosze we wszystkie możliwe inicjatywy siostr. W tym wianku jest za mało niebieskich kwiatów, ta ławka krzywo stoi, a chrustu do ogniska nazbierano zdecydowanie zbyt mało. Wiedźmy łypały na

mnie spod oka, widocznie niezadowolone z moich cennych uwag, ale miałam świadomość, że i tak mnie kochają. Nic nie poradzę, że mam ten unikatowy dar zjednywania sobie ludzi. Szkoda tylko, że Miłosz myśli inaczej. Cięża zmieniała jego postrzeganie mojej osoby. Nagle stałam się dla niego nieatrakcyjną przyszlą mamuszką, a nie miłością jego życia, jak deklarował jeszcze kilka miesięcy temu pomiędzy namiętymi pocałunkami. Może to się zmieni, gdy po porodzie oddam dziecko do ciotek i odzyskam dawną figurę.

Siostry ciągle mi powtarzały, że moja obsesja na punkcie faceta wpędzi mnie do grobu. Nie to nam pisane, twierdziły. Mężczyźni w naszym klanie mają wartość tylko wtedy, kiedy nas zapładniają, ale dla mnie Miłosz jest znacznie cenniejszy – nie liczy się wyłącznie jego magiczne nasienie.

Oczywiście wiem, że moja powinność to rodzenie małych wiedźm, ale nie wierzę, że nie wolno mi kochać. A ten, którego wybrałam, jest mi po prostu przeznaczony. Kocham go całe życie i nigdy nie przestanę. Nawet jeśli chwilowo zapomina o moim istnieniu, bajerując swoim urokiem osobistym inne czarownice z wioski. Wybaczę mu wszystko, a on zdaje sobie z tego sprawę. Ta jego stale potargana brązowa czupryna, zabójczo piękne piwne oczy i wyjątkowy uśmiech za każdym razem wywołujący ciarki na moich plecach stanowią mieszankę wybuchową. Nie ma na świecie drugiego mężczyzny, który wywierałby na mnie tak wielki wpływ. Byłe do porodu, a potem znów będzie mój.

Ten mały mieszkaniak mojego brzucha nie wywołuje we mnie większych emocji. My, wiedźmy z klanu, nie jesteśmy stworzone do odgrywania odpowiedzialnej roli matki. Nie będzie mi żal oddać dziecka na wychowanie ciotkom. Im zdecydowanie łatwiej przychodzi zajmowanie się czymś potomstwem. Ja jestem jeszcze młoda i takie zobowiązania nie są dla mnie. Na szczęście w klanie każdy to rozumie. Młodość musi się wyszumieć, powiadają. Nikomu nie przeszkadza, że Miłosz nie ślubował mi wierności i że nigdy nie założyłam obrączki. Zresztą i w klanie zawiera się coraz mniej oficjalnych

małżeństw. Ważne, żebyśmy rodziły potomstwo i żeby magiczne geny nie ginęły, tylko rosły w siłę. Moralność i przyzwoite prowadzenie się dawno już wyszły z mody. Dlatego jeśli Miłosz zamierza zapłodnić kogoś innego, nie stanę mu na drodze. Byle to właśnie do mnie wracał. Bo ja zawsze będę na niego czekać.

Wraz z tegorocznym świętem Kupały zawitają do nas nowi goście: dwie dziewczynki z Armenii, chłopczyk z Włoch i największa sensacja – samorodek. Polska wiedźma, kobieta po trzydziestce, odkryta niedawno, niepowiązana z żadnym klanem. Magiczne korzenie, nieznane pochodzenie. Wychowana przez ludzi nieświadomych jej zdolności. Prawdopodobnie adoptowana. Znależiona przez Łowców Samorodków, czyli tych, którzy wynajdują na całym świecie osoby o niezwykłych zdolnościach.

Czemu zdecydowała się na nasz klan? Któż to raczy wiedzieć? Łowcy obeznali ją z historią, ale jak sądzę, musi być mocno zdezorientowana. Przez całe życie nie miała pojęcia, kim jest, a teraz zamieszka u obcych sobie istot i będzie się uczyć swojej mocy. Rada zdecydowała tydzień temu, że kobieta trafi do mojej chaty. Gdyby Miłosz pojął mnie za żonę, nie musiałabym się przejmować obcą czarownicą w domu, ale cóż, muszę na to jeszcze trochę poczekać. Może taka przerwa dobrze nam zrobi, a on wreszcie dojrzeje i zrozumie, że to mnie kocha najbardziej? Naiwna jak zwykle. Trudno.

Poprawiłam białą sukienkę, która coraz bardziej opinała powiększający się z dnia na dzień brzuch. A jeszcze tydzień temu wydawała się idealnie dopasowana. Odnosiłam wrażenie, jakbym puchła w oczach. Właściwie to lepiej, że w moich progach zjawi się inna kobieta. Pomoże mi przejść przez trudy ciąży, bo dotychczas musiałam radzić sobie sama. Westchnęłam i ziewnęłam przeciągle.

– Nudzisz się, Tomira? Weź się wreszcie do roboty, ciąża to nie choroba.

Do moich uszu dotarła kąśliwa uwaga Kazimierzy, pupilki Naczelniej. To jedyna wiedźma, której wręcz nie znoszę. Ma zadziwiająco duże grono popleczniczek, które tak jak ona marzą o objęciu schedy

po Marlenie, ale tylko ona jawnie okazuje mi niechęć. Cholerna jędba. Urodziła już dwoje dzieci i wydaje jej się, że o ciąży wie wszystko. Ma rację. Wydaje jej się. Każda kobieta jest inna, a mnie ten stan męczy bardziej niż inne wiedźmy. Ciągłe chodzącą śpiącą i zmęczoną, jakby wewnętrzny lokator zabierał mi wszelkie siły vitalne.

– Nikt nie jest tak doskonały jak ty, siostró – odezwałam się sarkastycznie. – Zajmij się swoimi sprawami, zamiast wtrącać w moje.

Kazia wzruszyła ramionami, obdarzając mnie pogardliwym spojrzeniem. Nie cierpiałam jej za to jeszcze mocniej. Na szczęście nie nawykłam do zbytniego przejmowania się kimś, kto nie zasługuje na moją uwagę. Dlatego ostentacyjnie odwróciłam się do niej plecami, kierując wzrok na zapracowane przyjaciółki. One nigdy nie szczędziły mi uśmiechów ani dobrego słowa. Gdyby nie Każka, życie w klanie byłoby sielanką, ale cóż, nie można mieć wszystkiego.

Na wieczorny pokaz każda z nas przygotowała coś specjalnego. Taniec, śpiew, różnego rodzaju magiczne sztuczki czy iluzje. Ponieważ byłam w stanie błogosławionym, nikt ode mnie nie oczekiwał, że dziś wystąpię, ale miałam coś w zanadrzu.

Odkąd pamiętam, lgną do mnie wszelkiej maści zwierzęta. Prawdziwa ze mnie Królowna Śnieżka na Bagnach. Moja aura przyciąga braci mniejszych. Przy mnie pozbywają się strachu. To ja szkolę wszystkie zwierzęta gospodarskie, które bez obaw obdarzają mnie zaufaniem. Doję krowy, tresuję psy, ujeżdżam konie. Do moich obowiązków poza klanem należy opieka nad drapieżnymi ptakami w warszawskim zoo, ponieważ to właśnie pierzaste darzę największą miłością.

Z pewnością to tylko kwestia czasu, kiedy moje kompetencje w ogrodzie zoologicznym zostaną docenione. Jak nikt inny dogaduję się ze zwierzętami, co dla reszty zespołu jest zupełnie niezrozumiałe. Dyrektor ośrodka nie może wyjść z podziwu nad moim talentem w opiece szczególnie nad ptakami, a pracuję tam zaledwie od dwóch lat. Wiem, że jak tak dalej pójdzie, wkrótce zostanę jego prawą ręką, co niestety nie podoba się Radzie. „Nie rzucamy się w oczy, siostró.

Naszym celem jest delikatna pomoc ludziom, a nie stanowiska kierownicze” – mawiały, gdy wspominałam o pracy. Marzyłam o pójściu na studia weterynaryjne, ale to plany na później. Kiedyś będę dyrektorem tego albo innego zoo, bo nikt tak jak ja nie rozumie potrzeb zamkniętych w nim lokatorów.

Na dzisiejszy pokaz przygotowałam ptasie trele. Tresowałam ptaki przez całą ciężę, ponieważ miałam mnóstwo wolnego czasu. Goście usłyszą koncert, o którym nikomu się nie śniło. Na początku wystąpią skromnie jaskółki i zięby, a następnie – jeszcze w trakcie lotu dookoła przyjezdnych – śpiewać będą skowronki z ich godną pozazdroszczenia wytrzymałością i siłą woli. Żółto-czarne wilgi umilą czas nie tylko swoimi trelami, ale i egzotycznym wyglądem. Później słuchacze usłyszą bardziej wyrafinowany szczebiot nasionolubnej makolągwy i uspokajający odgłos drozda śpiewaka. Gdy tony poprzedników ucichną, zaraz przed podium moich ulubieńców wejdzie szpak. Choć to ogrodowy szkodnik, jest niezwykle utalentowanym arcymistrzem wokalnym. Nie tylko sam tworzy melodie, ale też znakomicie naśladuje inne dźwięki. Sama śmietanka gwiazd zostanie na koniec. Kosy o czarnym upierzeniu i pomarańczowych dziobach donośnie zaśpiewają spośród gałęzi, by ustąpić tęsknym kląskaniom, fletowym gwizdom i melodyjnym łkaniom słowika. Jako ostatni wystąpi solista – pstrokato upierzony szczygieł, który swoim cudownym śpiewem pobudzi publiczność i przygotuje ją do dalszych pokazów tego magicznego ze wszech miar wieczoru.

Wspomniałam Marlenie, żeby uwzględniła mnie i moich podopiecznych w swoich planach, a ona, jak zwykle uśmiechnięta i dobrodusza, pogłaskała mnie po głowie i wyszeptwała mi do ucha: „Oczywiście, Tomiro, twoich ptaszków nie może zabraknąć na Nocy Kupały”. Skąd wiedziała? Cóż, kolejny dowód na to, że nieprzypadkowo została wybrana na Naczelną. Wie o mieszkańcach osady więcej niż którakolwiek z nas, zupełnie się z tym nie obnosząc i trzymając wszelkie tajemnice głęboko ukryte przed innymi. Za to cenię ją najbardziej.

Czas się zbierać. Kręgosłup szczególnie dawał mi dziś w kość. Marzyłam o gorącej kąpeli i interesującej lekturze w domowych pieleszach. Noc Kupały już niedługo, ale dla mnie liczył się głównie mój błogosławiony stan, bo dla wiedzy nic nie stanowi większej wartości niż zdrowe potomstwo. Wiadomo przecież, że szczęśliwa matka to szczęśliwe dziecko. Wstałam, strzepując niewidoczny pyłek z kolan, i rażnym krokiem podążyłam do swojego skromnego domku otoczonego winoroślą. Uśmiechnęłam się na myśl, że wkrótce nie będę w nim sama.



ROZDZIAŁ II

PAMIĘTNIK

DERWAN

Obecnie

Przez kilka dni leżę na zakurzonej tapczanie, zwinięty w kłębek i pozbawiony chęci do życia. Nie mam motywacji nawet, by wstać i przygotować skromny posiłek. Wiele suchych i przetworzonych produktów znalazłem w szafkach kuchennych, więc teoretycznie mógłbym zrobić sobie coś na szybko, ale nie znajduję w sobie dość siły. Aby nie dokuczał mi głód, gryzę w pośpiechu suchy wafelek i popijam colą z puszki. Będzie musiało wystarczyć na jakiś czas, nim zdecyduję się ugotować coś z zapasów gospodarzy. Słyszałem, że od zaginięcia córki wiedźma i wampir nie zaglądali w te strony, gdyż desperacko szukali jej po całym świecie. Swoją drogą, ta straszna historia udowadnia, że uczucie tych dwojga nie gwarantuje beztróski i jak wszystko na tym świecie okupione jest cierpieniem.

Moja historia miłosna nie jest tak spektakularna. Śmiem twierdzić, że stanowi bardziej wytwór wyobraźni niż realny byt. A może platoniczne uczucie w ogóle nie powinno być uważane za miłość, tylko bardziej za ciemny dół, w który się wpada na własne życzenie? Jednostronne zauroczenie wydaje się żalosną torturą pozbawioną sensu, wypaczoną odwrotnością wzajemności. Co jednak, jeśli serce nie

słucha rozsądku? Doprawdy, zdaje się, że jestem jedynym w swoim rodzaju masochistą, któremu nigdy dość umartwiania się.

Ciężko wstaję i leniwie rozglądam się po swojej tymczasowej siedzibie. Muszę przyznać, że urządzono ją ze smakiem. Przytulnie tu, choć miejsca nie ma zbyt wiele. Salon zdobi ogromny, pokrywający całą ścianę regał z książkami. Pośrodku, w specjalnej gablotce, widnieją kolejne księgi, ale te są chyba antykami – sugeruje to wygląd grzbietów. Z ciekawości podchodzę i otwieram drzwiczki, a potem grube tomisko. Ku mojemu zdziwieniu nie jest to drukowana księga, lecz gęsto zapisany rękopis. Co robi tutaj, na odludziu, starożytny manuskrypt? Czyżby mieszkańcy mieli zamiłowanie do drogocennych relikwii? Z ciekawością przerzucam parę kartek. Okazuje się, że to pamiętnik. Na pierwszej stronie widnieje data 19 stycznia 1920 roku.

Zaintrygowany siadam na fotelu i rozpoczynam lekturę. W końcu i tak nie mam dziś nic konkretnego do roboty.

LUDIS

19 stycznia roku Pańskiego 1920

Dwa lata upłynąć miały od rozpoczęcia naszej słodkiej niepodległości. Choć z początku trudno było uwierzyć, iż po tylu dekadach jesteśmy nareszcie wolnym krajem, to emocje już lekko opadły, a mnie z tego faktu cieszyć się jeno przystało. Dlategoż dla uczczenia tej radości, która serce me nostalgią wypełnia, złożyłem sobie solenną obietnicę, iż dzieje mojego długiego żywota na kartach tej księgi spiszę. Tym, czy komuś się wydadzą ciekawe, czy jednak pamiętniki moje pokryje kurz zapomnienia, zawracać sobie głowy nie zamierzam. Pragnę z całego serca, by wspomnienia lat pełnych wydarzeń nie uleciały niczym płóche ptaki, lecz stały się żywym świadectwem tegoż, co działo się podczas mojego ponaddwustuletniego życia. Nie wiem ino, ileż wiosen przyjdzie mi świat raczyć swoją osobą, czy jakowe wydarzenia wielkiej wagi napotkać

mi jeszcze przypadnie, lecz gotowym podzielić się wszystkim, co mam, na tym lichych kartkach, które zanim w proch się zamienią, może za przestrogę potomnym posłużyć.

Urodziłem się w 1705 roku jako syn krawca w podwarszawskich Ząbkach, skąd pochodziła rodzina mojej matuli. Byłem jej piątym dzieckiem i drugim, jakiemu udało się przeżyć morowe powietrze, które omal nie wybiło całej naszej rodziny w 1708 roku. Tylko ojciec, brat i ja, trzyletnie wówczas pacholę, cudem śmierci się wyrwaliśmy, by toczyć każdego dnia kolejne boje o przetrwanie. Szczęściem ojciec, mając talent w rękach, zaś pomimo biedy i częstych rozbojów, nie poddał się i zakład krawiecki otworzył. Z synami fachem się podzielił, abyśmy i my czerpać z jego wiedzy mogli. Żmudna to była nauka, bo ino trzech nas mężczyzn zostało, kobiecej ręki zabrakło. Dlatego ciężkie miał dorastanie, bez tej jedynej w swoim rodzaju miłości matczynej. Za nauczyciela i wychowawcę służył mi jedynie surowy ojciec, który z góry życie syna zaplanował, nie licząc się bynajmniej z moim zdaniem. W odróżnieniu od brata zawsze krnąbrny stawałem przed obliczem ojca, czym sprawiałem mu mnogo boleści i rozczarowania. Cóż znaczy mój dzisiejszy frasunek wobec zbuntowanych lat młodzieńczych i smutku od dawna nieżyjącego ojca? Zapewne niewiele, jeśli można rzec: nic. Pusty dzwon jeno wśród echa starych grzechów. Ale nie o tym chciałem pisać, tylko o tym, że umysł sentymentem trawiony czasem wspomina stare dzieje i żale swe wylewa.

Wracając do zakładu ojca, to choć trudno było koniec z końcem związać w tamtych ciężkich przedzaborowych czasach, udało nam się zdobyć majątną klientelę, która była wymagająca, ale i szczęśliwie na miarę okoliczności szczodra. Zamówienia na piękne, zdobione suknie dla bogatych szlachcianek poczęły płynąć wartkim strumieniem. Gdy osiągnąłem pełnoletność, zakład Kosznik i Synowie miał już swoją renomę w Warszawie. Niestety ja, nierzadko nocami wykańczający kolejne zlecenie, nienawidziłem swojego papy, starszego brata, a w szczególności wszelkiego rodzaju igieł, nici, tkanin, koronek i damskich fatalaszków. Praca ta wydawała mi się groteskowa, niemęska i niewarta mojej uwagi i poświęcenia, czego wyraz dawałem w niekończących się swarach z ojcem i bratem. Częstokroć

znikałem na długie godziny, innego zajęcia się mając, albo przesiadywałem w towarzystwie równolatków, którzy jak nikt inny potrafili mnie zrozumieć i na duchu pokrzepić.

DERWAN

Obecnie

Przerywam lekturę i w zamyśleniu spoglądam za okno. Szare niebo i kikuty drzew przypominają, jak nieprzyjemna pora roku właśnie się rozpoczyna. Jesień, choć na skutek globalnego ocieplenia przyszła w tym roku wyjątkowo późno, zdążyła się na dobre rozgościć i uprzykrzyć życie mieszkańcom kraju. Listopad, najbrzydszy miesiąc w roku.

Wzdycham, wspominając te parę przeczytanych stron. Ludis. Coś w wiosce wspomniano o nim jako twórcy słynnego wampira Dawida. Niewiele jednak o nim wiem poza faktem podzielenia się demonem, a tu mam przed sobą spisana jego historię. Mój stosunek do krwiopijców powinien być negatywny, ale szczerze mówiąc, niewiele się przejmuję przedstawicielami tego gatunku. Nigdy nie musiałem z nimi walczyć, ponieważ od dawna omijali te ziemie. Oczywiście zdaję sobie sprawę, że są zakałą naszego świata i należy ich zwalczać, lecz to samo dotyczy wszelkiej maści przestępców czy innych szkodników. Dopóki nie zakłócają mi spokoju, myślenie o nich pozostawiam innym. Niemniej pamiętniki starego wampira wzbudzają we mnie ciekawość. Z tego, co przeczytałem, wynika, że miał równie trudne kontakty z ojcem jak ja. Odkąd pamiętam, nie mogliśmy znaleźć wspólnego języka. Wiem, że rozczarowywałem go na każdym kroku samą swoją egzystencją. Zapewne chciał dla mnie jak najlepiej, lecz nie był w stanie mnie zrozumieć. Jestem przekonany, że nawet gdyby usilnie próbował, nie dałby rady. Od zawsze byłem inny i nikt, kogo znam, nie umiał mnie zaakceptować. Oprócz Tomiry. Ale ona też stała się pieśnią przeszłości.

Przymykam oczy i zaciskam pięści. Paznokcie wbijają się głęboko w skórę, kilka kropel krwi spada na posadzkę. Nie wytrzymam bez niej długo, tego jestem pewien.

Dlaczego zawsze oceniałem siebie przez pryzmat tego, jak postrzegają mnie inni? Czy to przez ojca, który nigdy nie był ze mnie zadowolony i krytykował każdą podjętą przeze mnie decyzję? Który siłą wymuszał posłuszeństwo i pasem starał się przemówić do mojej krnąbrnej natury?

Pokochałem jedyną osobę, która mnie dojrzała. Tylko przed nią ściągnąłem maskę i pokazałem, kim naprawdę jestem. Stałem ze swoją nagą duszą w dłoni, a Tomira ją przyjęła.

Kim więc jestem bez niej?

Martwą za życia skorupą pozbawioną serca.

Podrobionym człowiekiem.

Marną atrapą mężczyzny.

ROZDZIAŁ III

SOKÓŁ

TOMIRA

Wcześniej

Dzień Kupały już za nami. Nowi członkowie naszej społeczności, oszołomieni niezwykłymi pokazami, spali w najlepsze wraz z pozostałymi gośćmi tak serdecznie witanymi w naszej osadzie. Tylko nowa, o imieniu Ina, ta, która się do mnie wprowadzi, czujnie obserwowała okolicę. Jej wzrok zatrzymał się na mnie, a ja miałam wrażenie, jakby mnie nim rozbierała na części pierwsze. Nie rozpoznałam, na czym polega jej czar. Wiedziałam tylko, że za każdym razem czuję się przy niej nieswojo.

Kiedy zobaczyłam ją pierwszy raz na warszawskim dworcu, nie mogłam uwierzyć, że to czarownica. W bluzie z kapturem nałożonym na krótkie szaroblond włosy, spranych džinsach, dopełniającej całości skórzaney kurtce i z luźno zarzuconym na ramię zniszczonym plecaku z całym dobytkiem wyglądała raczej jak student wracający do akademika.

– Dowiedziała się o naszym świecie zaledwie kilka miesięcy temu. Jeszcze to trawi, więc okaż jej więcej zrozumienia – przestrzegł mnie Łowca Samorodków, zanim ją do nas wysłano.

– Co mam robić? – pytałam, ponieważ nigdy wcześniej nie miałam do czynienia z osobą, która dopiero się uczy, kim jest.

– Pokazuj jej osadę, to, czym się zajmujecie, ale nie przeciążaj jej opowieściami. Już teraz jest bardzo skryta i wycofana. Jeśli zamknie się zupełnie, dar, który posiada, nieużywany może ją zniszczyć.

– Czym dysponuje? – próbowałam się dowiedzieć.

– Gra. – Lakoniczna odpowiedź niewiele zdradzała.

Teraz to na pewno grała, ale na nerwach. Wodziła za mną wzrokiem, odkąd się zjawiała, nie odzywając się praktycznie wcale, co było niesamowicie męczące. Prędkiej czy później powinnam jej powiedzieć, co o tym myślę. Przez to zachowanie pokaz specjalnie przygotowany na nasze święto nie wyszedł mi do końca tak, jak powinien. Ptaki wyczuwały moje podenerwowanie, emanując dużo mniejszą energią niż podczas ćwiczeń. Na szczęście więdźmy oraz goście i tak wyrazili zachwyt nad umiejętnościami moich podopiecznych, choć ja wiedziałam, że stać nas na dużo więcej.

– Czego się tak gapisz, do jasnej anielki? – zamruczałam bardziej do siebie.

Dziewczyna nagle wyrosła mi tuż przed nosem, lecz gdy usłyszała moje słowa, odwróciła się na pięcie i odeszła. Wiedziałam, że ją uraziłam, ale nie potrafiłam się przełamać i przeprosić za swoje zachowanie.

Sprzątałam bałagan po imprezie, lecz ta niezręczna sytuacja nie dawała mi spokoju. Leżące wszędzie papierki, niedopałki papierosów czy plastikowe naczynia nieoczekiwanie wzbudziły we mnie złość. Czy ludzie zawsze muszą być tacy niechlujni? Chciałam, żeby już się obudzili, zabrali swoje rzeczy i zostawili nas w spokoju.

– Co cię gnębi, siostrze? – odezwała się Mirka, jedna z moich ukochanych siostr. Nikt tak jak ona nie był w stanie zrozumieć moich wahań nastroju.

– Ta nowa doprowadza mnie do szału. Nie chcę z nią mieszkać!

– Wiem, ale każdy z domów jest już pełny. Tylko u ciebie zostało miejsce. Gdyby Miłosz...

– Nawet nie kończ – przerwałam jej szybko. – Wiem, że powinien być teraz przy mnie, ale jeszcze nie jest gotowy.

Ze złością kopnęłam wystający korzeń. Szkoda, że ja musiałam być gotowa na wszystko. Nawet na nową wiedzmę i jej dziwaczne zachowanie.

– To już siódmy miesiąc. Nie dziwię się, że tyle rzeczy cię drażni. Zostaw te śmieci. Chodź, odprowadzę cię do domu. – Przytuliła mnie mocno, a potem wzięła pod rękę i zaprowadziła niemal do samych drzwi.

– Nie wiem, jak mam z nią rozmawiać – zwierzyłam się przyjaciółce. – Wyobrażałam ją sobie inaczej.

– Daj jej czas. To dla niej kompletnie inny świat. Na pewno jest wystraszona.

Zrobiłam głęboki wdech i ciężkim krokiem pomaszerowałam w stronę domu.

Sokół Leonard zerwał się z gałęzi i usiadł mi na ramieniu. Rok temu znalazłam go w zaroślach niedaleko zoo, owiniętego drutami i zamęczonego prawie na śmierć przez głupie dzieciaki. Delikatnie wzięłam go na ręce, czując, że jego maleńkie serce bije w zbyt szybkim rytmie. Ciało było ciepłe, co dawało nadzieję, że mam jeszcze trochę czasu, by mu pomóc. Ostrożnie usunęłam wbite w skórę druty, by nie zranić go jeszcze bardziej. Jego skrzywdzone ciało drżało pod moim dotykiem, a w oczach widziałam strach przed kolejną torturą. W drodze do osady trzymałam go na kolanach, otulając ciepłą szmatką, by ukoić jego ból. W domu przemyłam rany, położyłam stworzenie na miękkiej poduszce i zaniiosłam do Marleny. Jej ciche zaklęcia pomogły w procesie gojenia i w zredukowaniu stresu, który mógł być nie mniej zabójczy niż uszkodzenia fizyczne.

Od tego czasu sokół opuszcza naszą wioskę tylko na polowania. Zamieszkał nieopodal mojego domu w specjalnie dla niego wybudowanej wieży. Dzięki temu może bez przeszkód obserwować okolicę i zawsze wie, kiedy wracam do domu. Ten gatunek praktycznie wyginął na naszych ziemiach, więc dbam o niego, jak tylko umiem,

a on odwdzięcza mi się niezwykle oddaniem i miłością. Marzę o znalezieniu dla niego samicy, aby odrodzić populację na Mazowszu, lecz nie jest to łatwe zadanie.

Pogłaskałam Leo w okolicach szyi, wiedząc, że uwielbia takie pieszczoty, zupełnie jak domowy kot. Puknął delikatnie dziobem w moje palce, domagając się więcej przyjemności.

– Jestem zmęczona, daj mi wejść do domu i się położyć – zwróciłam się do ptaka, pozwalając mu odfrunąć. Leo niechętnie zerwał się do lotu, widocznie łudząc się, że zmienię zdanie. Kiedyś poświęcałam mu więcej czasu, lecz ostatnio nie mam już siły nawet na zabawy z ptasim przyjacielem.

– Czemu one tak do ciebie lgną? – Z zamyślenia wyrwał mnie głos nowej współlokatorki. Czyżby wreszcie raczyła się odezwać?

– Taki już mój dar – stwierdziłam, nawet nie patrząc w jej stronę.

Znów zapadła niezręczna cisza. Może to moja wina, że dziewczyna była taka małomówna. Sama nie starałam się poprawić sytuacji. A z nas dwóch to ona zdecydowanie bardziej wymagała pomocy.

– Od zawsze kochałam zwierzęta, ale ptaki zawładnęły moim sercem najbardziej. Jak widać, ze wzajemnością. Może w poprzednim życiu byłam jednym z nich. – Uśmiechnęłam się lekko, widząc, jak Leo stuka dziobem w szybę. Zdecydowanie nie chciał zostać dziś sam na zewnątrz.

– Wpuścisz go? – Ina podeszła do okna i lekko zabębniła w szybę w odpowiedzi. Leo się nie przestraszył, co stanowiło dla mnie nowość. Zwykle bał się obcych.

– Nie będzie ci to przeszkadzać? – spytałam zaciekawiona jej zainteresowaniem.

– Nie sądzę.

Otworzyłam okno, a ptak natychmiast wleciał do środka i skierował się w stronę kuchni. Pamiętał, jak go kiedyś karmiłam kawałkami surowego mięsa, kiedy jeszcze był zbyt słaby, żeby polować samodzielnie.

– Nic tu dla ciebie nie ma, kolego. Jeśli jesteś głodny, radzę ci poszukać czegoś samemu.

Sokół zapiszczał rozpaczliwie, lecz nie zrobiło to na mnie żadnego wrażenia. Położyłam się na kanapie, podkładając poduszkę pod zmęczone nogi.

– On może tu spać? – Ina nie przestawała dociekać.

– Nie, jego miejsce jest na zewnątrz. Ale czasem lubi się po-przytulać w domu, bo go do tego przyzwyczaiałam. Uwielbia, kiedy razem wychodzimy. Wtedy lata niedaleko, krąży wokół mnie i wraca na zawołanie. Przez ciężę mam coraz mniej siły na takie wędrówki.

– Mogłabyś mnie tego nauczyć?

Wzruszyłam ramionami i zamknęłam oczy. Moja więź z ptakami jest wyjątkowa i należy tylko do mnie.

– Każda z nas ma własny cel i własny dar. Lepiej dla ciebie, żebyś skupiła się na magii, którą dysponujesz – odpowiedziałam niechętnie, obracając się na drugi bok.

Nie wiedziałam wtedy, jak bardzo zaboli ją moje nastawienie. Przez następny miesiąc nie odezwała się do mnie ani jednym słowem.

ROZDZIAŁ IV

POŻEGNANIE

DERWAN

Obecnie

Niechętnie odkładałam stare zapiski. Ze zdziwieniem odkrywam, że zaciekało mnie życie człowieka, który tyle przeżył i którego wiedza na temat historii naszego kraju jest tak rozległa. Facet żył jeszcze wtedy, kiedy Polską rządili królowie, przetrwał rozbiory, dwie wojny światowe, czasy PRL-u i umarł w niepodległej Polsce. Jeździł po świecie, ale i tak konsekwentnie wracał tam, gdzie się urodził. Dlaczego? W końcu miał tak wiele możliwości, by poznawać najniebezpieczniejsze i najbardziej oddalone od cywilizacji zakątki globu. Czemu za każdym razem ciągnęło go z powrotem na ziemię przodków? Patriotyzm czy zwyczajny sentymentalizm?

Mógłbym stąd wyjechać i wtopić się w tłum sobie podobnych, aby wreszcie przestać się wyróżniać spośród konserwatywnych, zacofanych wieźm żyjących w tej opuszczonej przez Boga osadzie. Czemu więc tu tkwię, rozpamiętując ostatnie wydarzenia niczym głupiec? To oczywiste, że Tomira do mnie nie przyjdzie. Czekanie na cud nie zaowocuje niczym poza utratą resztki złudzeń i szacunku do samego siebie.

Zamykam oczy i zaciskam dłoń w pięść, wspominając naszą ostatnią rozmowę.

Wcześniej

– Kim właściwie jesteś? – spytała, gdy chowałem skrzypce do futerału.

– Muzykiem, Tomiro. Potrafię tylko grać. – Delikatnie odłożyłem instrument.

– Nie wierzyłam, że coś potrafisz, ale to nie był zwykły koncert. Ujrzałam muzykę duszą, całym swoim sercem. Jak ci się to udało?

– To złudzenie. Szybko o mnie zapomnisz. Zobaczysz.

Gdy to mówiłem, miałem nadzieję, że zaprzeczy, podejdzie i będzie błagała, żebym został. Ale ona tylko na mnie spojrzała, a po policzku spłynęła jej łza. Chciałbym wierzyć, że pragnęła mi podarować na odchodne tę jedną łzę, bo co innego mógłbym od niej dostać?

– Dokąd pójdziesz? Ktoś taki jak ty nie powinien nigdy być sam.

– I tu się mylisz. Nikt więcej nie usłyszy, jak gram. A to miejsce stało się dla mnie wstrętne. Tu nikt mi nie pozwoli być sobą.

– A co to znaczy według ciebie być sobą?

– Czy nawet tobie muszę to tłumaczyć? – Podeszedłem do drzwi i po raz ostatni obejrzałem się przez ramię na izbę, która przez te parę miesięcy była moim domem.

– Dla mnie zawsze będziesz sobą.

Zacisnąłem szczęki, chwytając klamkę. Nie ma potrzeby marnować więcej słów. Już sobie powiedzieliśmy wszystko, co ważne. Teraz przyjdzie mi żyć z podjętą decyzją, a przedłużanie tego, co nieuniknione, jest jak wskrzeszanie umarłego.

Obecnie

Wyciągam skrzypce z futerału i zaczynam grać. Po pokoju rozchodzi się rzewny dźwięk wraz z czarem, który niezmiennie koi ból i daje chwilowe zapomnienie. Jedyne, co potrafię, to grać, zagłuszać muzyką negatywne emocje. Pamiętam, z jaką fascynacją słuchała mnie Tomira – nie mogła przestać się uśmiechać. Nie było mi po drodze wśród tłumu obcych twarzy, ale dla niej zdarłbym sobie palce do krwi,

byle tylko nie spuszczała ze mnie wzroku. Dlaczego dziś tkwię tu samotny jak palec, naiwnie wierząc, że do mnie wróci, zamiast odejść stąd i raz na zawsze zapomnieć o tym przeklętym klanie i tej, od której otrzymałem jedynie uprzejmą obojętność?

Na przekór nastrojowi gram dalej, gdy nagle słyszę rumor za oknem. Obracam się wystraszony, lecz zaraz rozpromieniam się w uśmiechu na widok ptaka pukającego dziobem w szybę. To niewiarygodne, że właśnie on mnie tu odnalazł.

Wierny jak pies pierzasty przyjaciel. Jedyny, jaki podarował mi los.
Sokół wędrownny.

ROZDZIAŁ V

NIE ZBLIŻAJ SIĘ

TOMIRA

Wcześniej

Milczenie trwające jeden dzień potrafi być męczące, ale takie trwające miesiąc jest po prostu torturą. Ina zamknęła się w sobie, całkowicie ignorując moje nieśmiałe próby nawiązania kontaktu. Dla mnie, osoby towarzyskiej i gadatliwej, zachowanie współlokatorki z dnia na dzień stawało się coraz bardziej nie do zniesienia.

W końcu, pchana bezsilnością, weszłam do jej pokoju, usiadłam na łóżku i rozpoczęłam rozmowę:

– Źle zaczęłyśmy, Ino. Wybaczysz mi? – Postanowiłam wziąć winę na siebie, przypominając sobie o tym, że ona również potrzebowała wsparcia. Ani mój stan, ani tęsknota za Miłoszem nie mogły stanowić dla mnie usprawiedliwienia.

– Nie mam żalu – odpowiedziała zwięźle.

– Ale ja do siebie mam. Skupiłam się na sobie i ciąży, zapominając, że świat, w którym żyję od zawsze, dla ciebie jest kompletnie nowy.

– Poradzę sobie.

Westchnęłam zrezygnowana. Twardy orzech do zgryzienia.

– Nie wątpiłam w to ani przez chwilę. Ale dobrze by było, gdybyśmy się zaprzyjaźniły, jak to siostry mają w zwyczaju.

Jej szare oczy przewiercały mnie na wylot, lecz wyraz twarzy pozostawał obojętny. „Przyjaźń” to słowo, z którym dziewczynie raczej nie po drodze. Może nigdy nie miała nikogo bliskiego?

Wiedziona niezrozumiałym impulsem dotknęłam szorstkiej dłoni Iny. Mój dotyk wprowdził ją w konsternację. Spróbowała wycofać rękę, ale złapałam mocno, czym uniemożliwiłam jej wyrwanie się.

– Nie jesteś tu sama. Pomogę ci się odnaleźć. Ale ty też mi pomóż, dobrze?

Zadrżała, zamykając oczy. Przyłożyłam sobie jej dłoń do serca, by po chwili ją puścić. Ulga, która wymalowała jej się na twarzy, z jakiegoś powodu sprawiła mi przykrość.

– Dziękuję za troskę. Jestem raczej typem samotnika, więc...

Spojrzała wymownie na drzwi, dając mi do zrozumienia, że nie mam tu czego szukać. Potraktowała mnie jak intruza. Dlaczego więc nie chciałam się poddać?

– Nauczyłaś się w życiu kroczyć sama. Rozumiem to. W końcu musiałaś ukrywać magię przez całe życie. Ale wśród nas możesz być sobą. Możesz się stworzyć i uwolnić swój czar. On tylko czeka, by stać się częścią ciebie.

– Sobą? – prychnęła, gwałtownie wstając z łóżka. – Nic o mnie nie wiesz, więc nie udawaj, że interesujesz się mną albo moją magią. Proszę cię, wyjdź i zostaw mnie w spokoju.

Nie wiedziałam, co zrobić, jak ją do siebie przekonać. Stałam się bezradna wobec muru, który budowała latami. Zdałam sobie sprawę, że nie wolno mi zignorować jej cierpienia, którego przyczyn nie znałam. W tej dziewczynie kryło się wiele tajemnic, do których być może nikt wcześniej nie dotarł. Pora to wreszcie zmienić.

– Dziś wyjdę, ale wrócę. Więc zostaw dla mnie trochę miejsca w swoim grafiku, bo nie zamierzam więcej pozwolić ci się przede mną zamknąć.

Wychodząc, nie obejrzałam się za siebie. Dałam jej czas, żeby dotarły do niej ostatnie słowa. Wierzyłam, że mój upór przyniesie jakieś rezultaty, lecz bardzo się pomyliłam. Od tamtej rozmowy